Nr. 29 Rok 3 Kraków, dnia 19 lipca 1942. 40 gr.

Ilustrowany Kurjer Polski

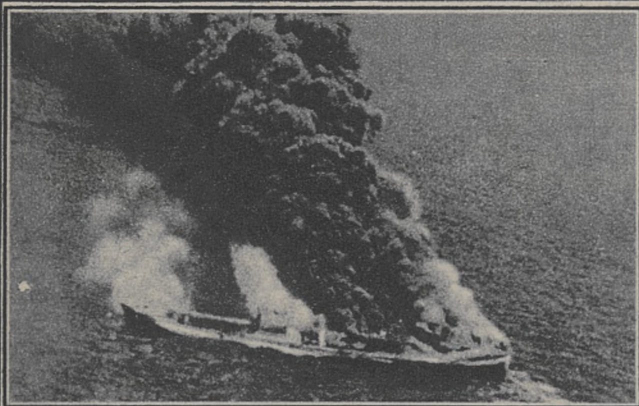


NA WYWCZASACH W GÓRACH...

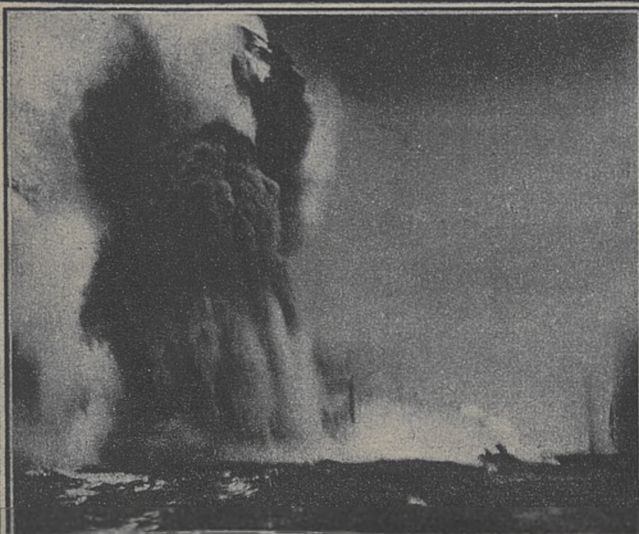
Fot. Błyskawica

CMENTARZYSKO KONWOJÓW





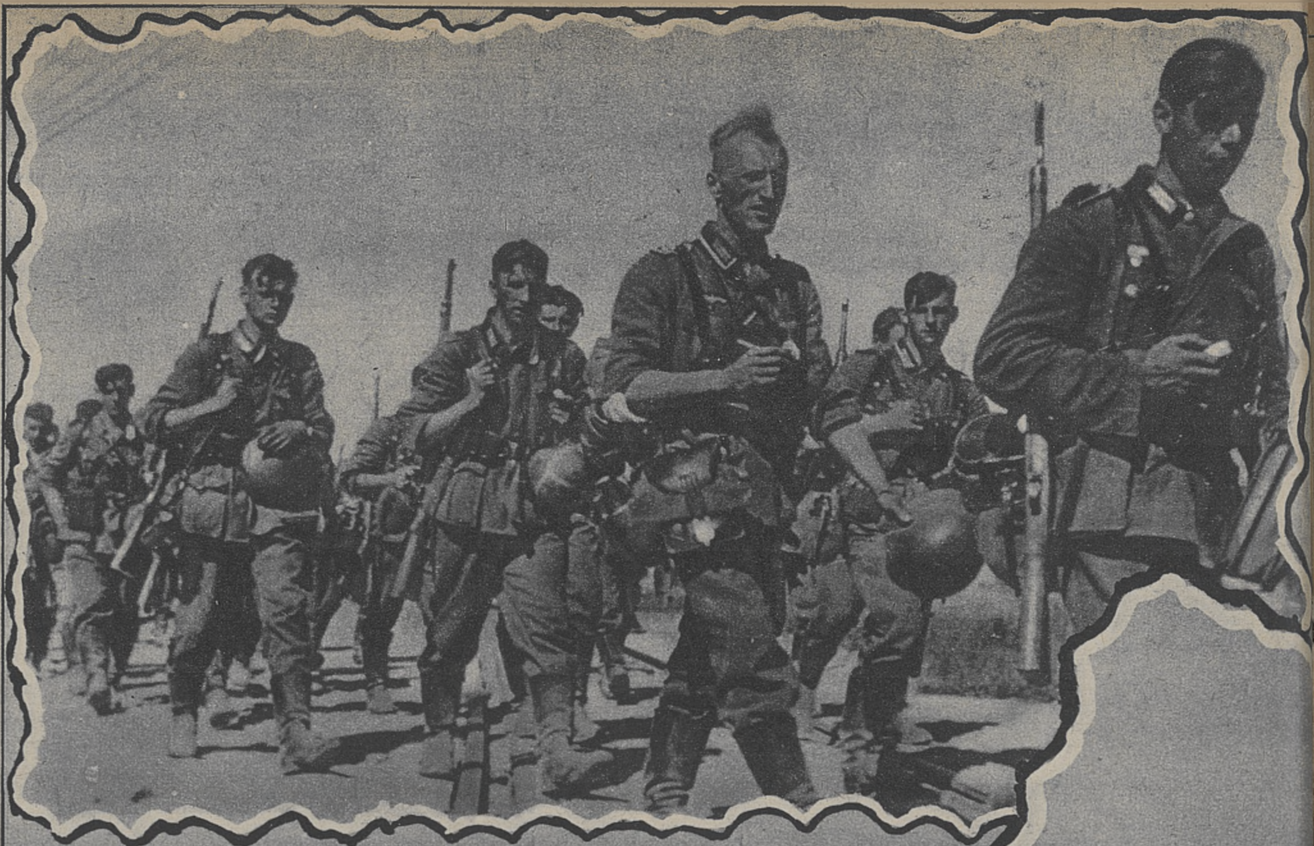




Na rozległej przestrzeni morskiej pomiędzy Przyl. Północnym, Szpicbergiem i Nową Ziemią zniszczyła niemiecka marynarka wojenna i lotnictwo w ścisłej współpracy z niemieckimi łodziami podwodnymi największy dotychczas konwój nieprzyjacielski. Konwój ten usiłowali Anglicy i Amerykanie przemycić do portów leżących nad M. Lodowatym Północnym. Przez zatopienie 35 okrętów tego konwoju, łącznej poj. 240 000 ton zniszczony został sprzęt wojenny dla wielu armij.

Na naszych zdjęciach widzimy dwa okręty transportowe idące w płomieniach na dno oraz moment wyrzucania torpedy na jednej z niemieckich łodzi podwodnych.

Fot. P. B. Z. 1, Weltbild 2



POCHÓD, WALKA I POCHÓD!

Ofenzywa Niemiec i ich sprzymierzeńców w walce o uratowanie Europy przed bolszewizmem i wielka bitwa nad Donem zachwiała całym południowo-wschodnim frontem bolszewickim oraz spowodowała najcięższy dotychczas kryzys strategiczny. Niemieckie dowództwo wojskowe i lotnictwo niemieckie uzyskały znaczną przewagę, a Stalin, Churchill i Roosevelt musieli stwierdzić, że ich nadzieje, iż w czasie zimy osłabiła się armia niemiecka, zbudowane były na piasku. Wydarzenia wojenne na froncie w Egipcie i nad Donem dowodzą, że potencjał wojenny osi wzrósł znacznie w ciągu ostatniej zimy. Rozczarowanie Anglii, która chciała zwyciężyć ofiarami swoich sprzymierzeńców, jest ogromne.

Na prawo:

ATAK O ŚWICIE

Bomby lotnictwa niemieckiego i ogień ciężkiej artylerii na stanowiska bolszewickie nad Donem umożliwiły piechocie niemieckiej atak, który jest dokończeniem rozpoczętego dzieła.

W kole:

TYLKO JEDEN ŁYK WODY I DALEJ NAPRZÓD!

„Pościg za nieprzyjacielem trwa bez przerwy". Tak brzmiał niemiecki komunikat wojenny po bitwie nad Donem. W jednej sekundzie gasi więc żołnierz swoje pragnienie, zrozumiałe przy tak ogromnych upałach i idzie dalej.

Fot. Atlantic 3, Scherl 4
Presse Ill. 1, Weltbild 1

DROGA



PRZEZ DON

W kole:
PRZESŁUCHANIE BOLSZEWIKÓW
Przy pomocy tłumacza niemieckiego przesłuchana zostaje grupa żołnierzy bolszewickich. Jak widać na zdjęciu ma porozumiewanie się na migi także swoje znaczenie.



Na prawo:
MIMO USZKODZEŃ — POWRÓCILI DO BAZY
Wielkie szczęście miała załoga tego niemieckiego samolotu bojowego. Został on trafiony w skrzydło ciężkim pociskiem bolszewickiego działa przeciwlotniczego, mimo to mógł kontynuować swój lot.





Powyżej:
ATAK NA BUNKIER SOWIECKI
Z granatami ręcznymi i pełnymi nabojami wyrusza niemiecki oddział szturmowy do ataku na bunkier sowiecki. Strumień przepływający okolicę nie jest żadną przeszkodą.



Na lewo:
PRZEZ DON!
Jeszcze piechota niemiecka walczy z wojskami bolszewic-

o płonącą miejscowość, a już pionierzy zwożą na pontonach materiał na budowę mostu. Będzie można dowieźć tu rezerwy.

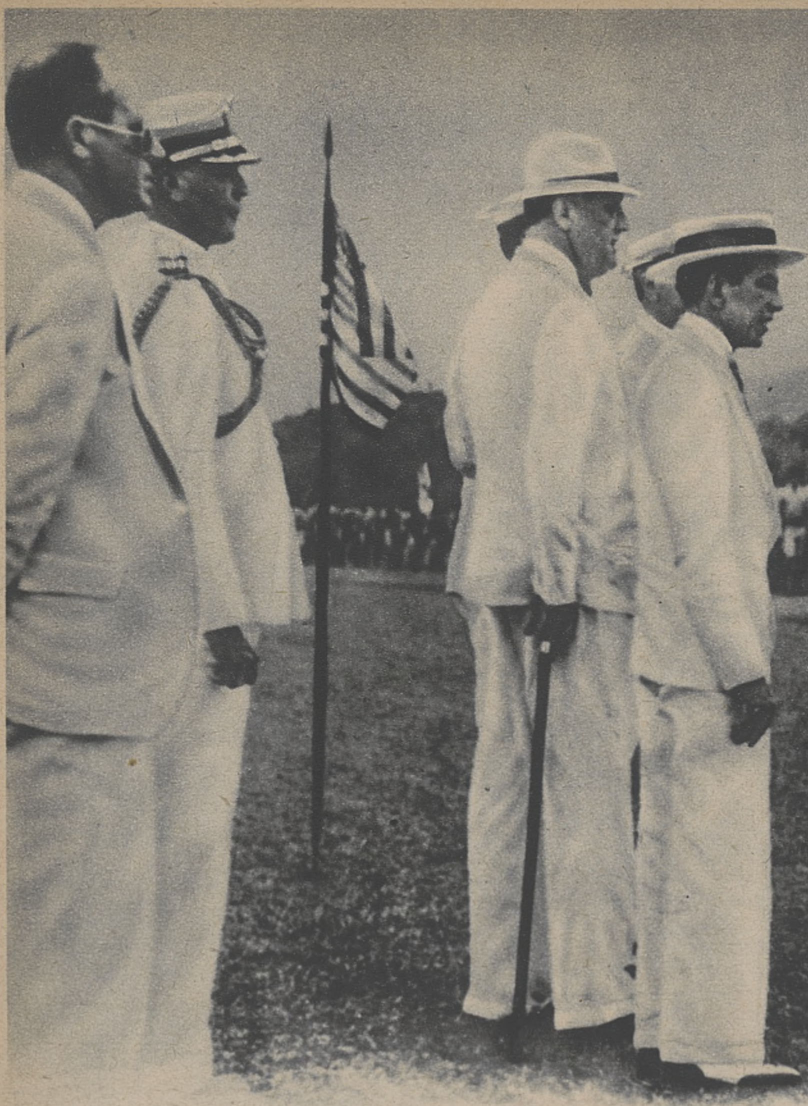


Na lewo i powyżej:
POCHÓD W KURZU I UPALE
wśród dojrzałych łanów zbożowych i dymiących zgliszcz.



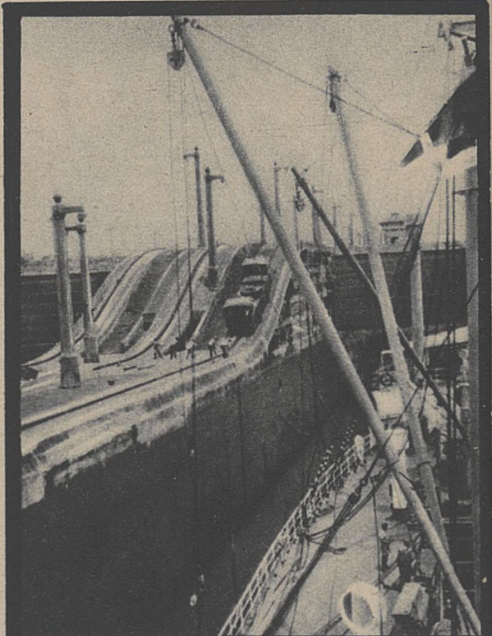
Na prawo:
CZOŁGI NA PRZEDZIE
One to mają do spełnienia najcięższe zadanie w walce z czołgami nieprzyjacielskimi, zaporami minowymi i obroną przeciwpancerną. Ale jest to broń, która przygotowuje drogę piechocie.

KANAŁ PA

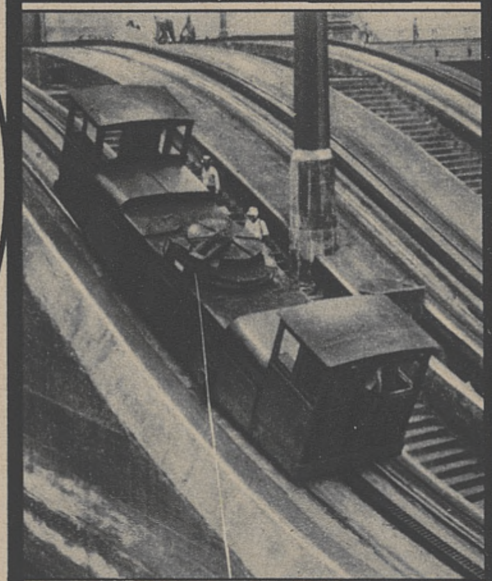


Na prawo: Maszyny, które przeciągają okręty do śluz, muszą pokonać strome wzniesienia, gdyż różnica poziomów poszczególnych odcinków Kanału jest znaczna.

Poniżej na prawo:
Tak wygląda maszyna elektryczna przeciągająca okręty przez śluzy Kanału do morza. Podziwiać tu trzeba geniusz ludzki, dla którego nie ma zdaje się żadnej granicy prócz śmierci.







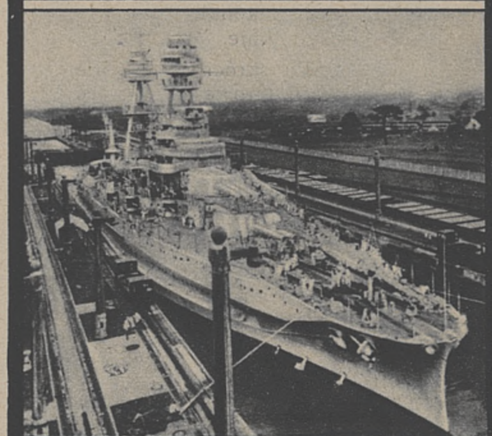
Prezydent Panamy Arias, który nie chciał być powolny planom Roosevelta, został usunięty. Wyrazem kurateli amerykańskiej wobec Panamy był fakt, że Roosevelt (powyżej) przyjął w strefie Kanału, w obecności prezydenta Arias, defiladę amerykańskich oddziałów wojskowych.

W miastach Panamy jest życie zupełnie zamerykanizowane. Na prawo widzimy olbrzymią halę targową w mieście Panama.

Postanowienie Kolumba by szukać drogi morskiej do Indyj płynąc na zachód, opierało się na tym założeniu, że między Europą i Indiami nie ma żadnego lądu, lecz tylko morze. Po odkryciu przez niego Ameryki nie zasypiała myśl ludzka, by przez ocean Atlantycki dotrzeć do Indyj. Pewność, że Ameryka północna połączona jest ze środkową tylko wąskim pasem lądu, dało ludziom natychmiast asumpt do stworzenia planów, mających na celu przekopanie przesmyku Daryjskiego. Plany te przybrały nawet dość realną postać i doprowadziły za panowania Karola V do skontrolowania możliwości przekopania tego przesmyku.

Do urzeczywistnienia tego planu jednak nigdy nie doszło, gdyż rozmiar zadania wykraczał daleko poza granice środków, jakimi dysponowały tamte czasy. Jednakże projekt budowy Kanału nie dawał ludziom spokoju już od końca XVIII wieku aż do chwili jego urzeczywistnienia. Nelson, v. Humboldt, prezydent Stanów Zjednoczonych Monroe i wreszcie Lesseps, twórca Kanału Suezkiego zajmowali się gorliwie tą kwestią. Również Goethe wyraził życzenie, by mógł dożyć połączenia obu oceanów.

Pierwszą realniejszą postać dał dotychczasowym planom człowiek, któremu udało się przeprowadzić budowę Kanału Suezkiego. W roku 1880 zagłębił Lesseps jako pierwszy łopatę w przesmyku oraz założył Francuskie Towarzystwo Akcyjne Kanału Panamskiego. Jednakże na skutek złej administracji, olbrzymich, przedtem nie wziętych w rachubę trudności terenowych i trudności z robotnikami, przekroczenia kosztorysów, wybuchu epidemii i wreszcie wskutek intryg zawistnych mu osób, musiał Lesseps w r. 1889

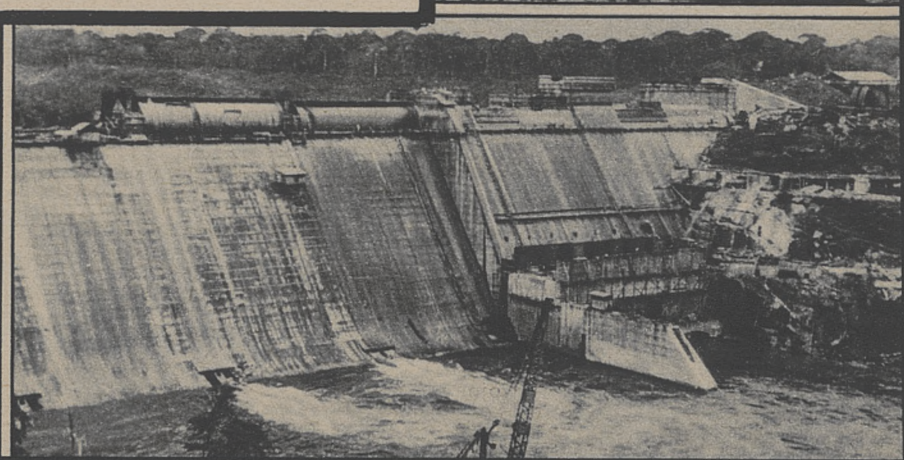


Poniżej:
Widok ogólny portu w Panamie. Z morza płaskich dachów wyrastają tylko nieliczne wieże.

Poniżej na prawo: Nowa zapora Kanału. W latach suchych zaznacza się w Kanale brak dostatecznej ilości wody. By umożliwić pracę śluzom, buduje się obecnie olbrzymią zaporę wodną. Rezerwoar, który w ten sposób powstanie, zawierać będzie 22 biliony stóp kubicznych wody.

Obok:
Amerykański okręt liniowy przepływa jedną ze śluz Kanału.





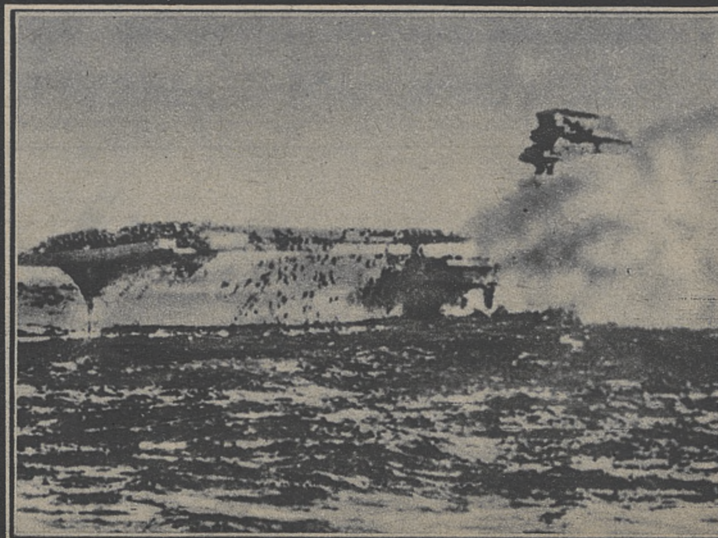


WODA! WODA!

Jak zwierzęta rzucają się żołnierze bolszewiccy na pierwszy napotkany i wypełniony wodą lej od granatów, aby ugasić pragnienie. Zostali oni wzięci do niewoli w lasach Karelii.

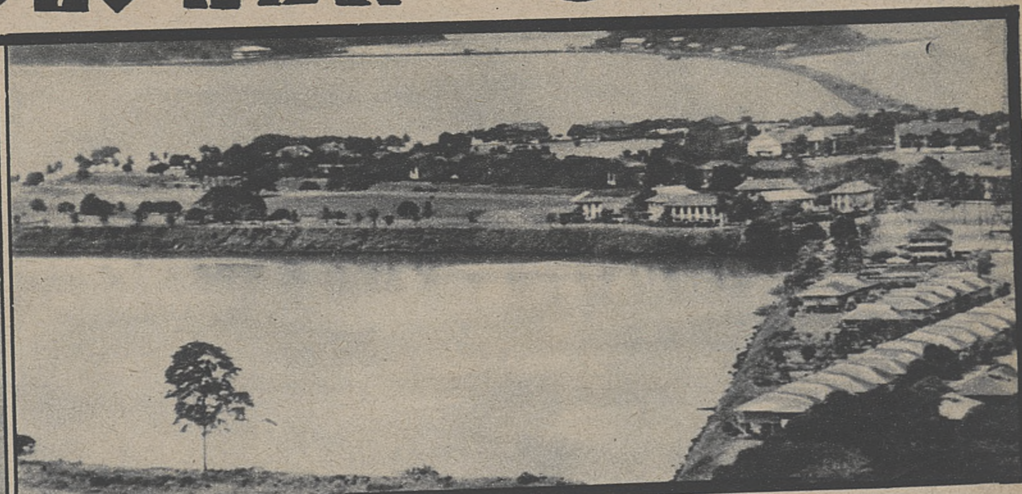
ZATONIĘCIE LOTNISKOWCA „LEXINGTON"

Zdjęcie na prawo ukazało się w jednym z czasopism angielskich, a ilustruje ono moment, w którym idzie na dno lotniskowiec amerykański „Lexington" poj. 33 000 ton. Został on trafiony bombami i torpedami japońskimi w bitwie na M. Koralowym i zatonął wkrótce osłonięty dymem i płomieniami. Jeden z kontrtorpedowców amerykańskich wykonał to zdjęcie w chwili, gdy załoga lotniskowca wyskakuje z niego.



NAMSKI — AORTA U.S.A.





Na lewo:
Kanał Panamski się skończył. W mieście Panamie przechodzi on w morze.

Powyżej:
Fort Amador, przy wjeździe do Kanału od strony Oceanu Spokojnego, jest jednym z najbardziej obwarowanych punktów na świecie. Ale i on nie odpowiada już wymaganiom nowoczesnej wojny.

zrezygnować ze swego projektu. Pozatym został on zawikłany w proces, tzw. skandal panamski, i osądzony.

Do roku 1901 było dokoła Kanału Panamskiego cicho, aż dopiero Amerykanie odkupili w tym roku projekt od Francuzów i nabyli od republiki Columbijskiej potrzebny im do budowy Kanału teren. W r. 1903 podjęto znowu prace przy budowie Kanału. Kiedy republika Columbijska zaczęła robić trudności, wybuchła w obu prowincjach, Panamie i Veragua, rewolucja; przy pomocy sprowadzonych żołnierzy marynarki północno-amerykańskiej utworzono wtedy nową republikę, powolną życzeniom amerykańskim, która gwarantowała Ameryce bezpieczne przeprowadzenie projektu budowy. W ciągu 10-letniej wytrwałej pracy, która wymagała niesłychanych wysiłków i niezwykle ciężkich ofiar wybudowano wreszcie Kanał Panamski.

Nie został on zwyczajnie przekopany, lecz zbudowany systemem śluz, gdzie różnica poziomu wód wynosi 26 metrów. Kanał łącznie z odcinkami końcowymi, wchodzącymi już w morze, ma 81 kilometrów długości. Szerokość jego została tak obliczona, żeby nawet największe okręty mogły go bez trudności przepływać. Dnia 3 sierpnia 1914 r., a więc krótko po wybuchu wojny światowej, przepłynął przez Kanał pierwszy okręt amerykański. Do dnia 10 października 1913 było natomiast to dzieło tak dalece wykończone, że aby uzyskać połączenie obu oceanów, należało wysadzić w powietrze jeszcze tylko jedną tamę. Wysadzenie tej tamy odbyło się z reklamą prawdziwie amerykańską, a nastąpiło przy pomocy przewodu elektrycznego z odległości 4 000 km. Dokonał go prezydent Wilson z Białego Domu w Waszyngtonie.

Kanał Panamski skrócił drogę morską z Nowego Yorku do San Francisco, prowadzącą przedtem dokoła przylądka Horn, o 19 000 km, tym samym też skrócił czas podróży o kilka tygodni. Ponieważ główny ruch okrętów amerykańskich odbywa się z jednej strony z zachodniego wybrzeża na wschodnie, z drugiej zaś ze wschodu do Azji wschodniej, łatwo jest zrozumieć, że Kanał Panamski stał się aortą amerykańskiej żeglugi okrętowej. Z tego wynika równie jasno, że wojskowe zabezpieczenie Kanału jest jedną z głównych trosk Stanów Zjednoczonych. Wszystkie urządzenia wojskowe wzdłuż Kanału objęte są ścisłą tajemnicą. Wiadomym jest tylko, że zarówno wschodni jak i zachodni wylot Kanału, znajduje się pod osłoną najcięższej artylerii świata.

Kanał Panamski jest jednak bardziej narażony na zburzenie niż jakikolwiek inny kanał na świecie. Zniszczenie z powietrza trzech urządzeń śluzowych równałoby się zupełnemu zniszczeniu samego Kanału. Dlatego obsadziły Stany Zjednoczone wbrew prawom narodów Panamę, postarały się o usunięcie prezydenta, który im nie chciał być powolny i zgromadziły na tym terenie znaczne siły zbrojne i powietrzne. Dzisiaj, kiedy niemieckie łodzie podwodne zadają żegludze amerykańskiej na M. Karaibskim, stanowiącym przedsionek Kanału Panamskiego, coraz większe ciosy, a u zachodnich wybrzeży Ameryki urządzają sobie polowania japońskie łodzie podwodne, został Kanał Panamski, według orzeczenia amerykańskiego, uznany za strefę wojenną. Troska Białego Domu o to, że mocarstwa złączone paktem trzech mogłyby przeciąć tę tętnicę i że wskutek bardzo zmniejszonego tonażu ruch okrętów ulec by musiał zwłoce wielu nieraz tygodni i miesięcy, pokazuje wyraźnie, że Stany Zjedn. odczuwają już tę wojnę na własnym terenie.



Obok:
Sprzęty gospodarskie mieszkańców Panamy, zamieszkujących wnętrze kraju, są bardzo prymitywne. Ziarno na mąkę tłucze się tam w moździerzach z kamienia.

Fot. Slg. Seiler 8
Weltrundschau 2

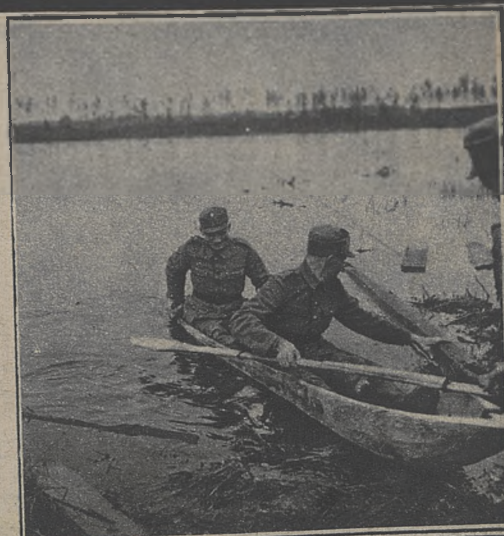


PRZESŁUCHANIE
Generalny marszałek polny Rommel przesłuchuje jednego z generałów angielskich wziętych do niewoli w bitwie pod Tobruk.

Na prawo:
„PIROGI" FIŃSKIE
Żołnierze fińscy, walczący w terenie pełnym jezior, pobudowali sobie w celu łatwiejszego transportu praktyczne łodzie powycinane w pniach drzewnych.

Fot. Scherl 2 P. B. Z. 2





SIANOKOSY NA PODHALU



Zżęła trawa musi wyschnąć na słońcu, zanim zamieni się w pachnące siano. By dobrze przeschła, przewraca ją gospodyni drewnianymi grabiami.

Cicha i pełna uroku jest dolina Czarnego Dunajca w Chochołowie koło Nowego Targu. Słychać tu tylko szum wartkiego potoku i dudniący od czasu do czasu na drewnianym moście wóz naładowany torfem. Powyżej: krowy i owce przechodzą na inne pastwisko.



Wierny Harnaś strzegł pilnie zagrody i oznajmia to po swojemu powracającej z łąk gospodyni.

O ile typowym krajobrazem nizin są latem wielkie, szumiące łany zboża, kończące się gdzieś daleko na horyzoncie, o tyle w górach przeważają łąki z wysoką po pas trawą. Na nierównym, o kamienistym podłożu terenie, najlepiej się ona udaje, łany zbóż są tam też wąskie, rzadkie, kierunkiem pasów zdradzające ukształtowanie terenu.

Kiedy się łąki na Podhalu rozfalują trawą, a ona sama rozgrzana słońcem i rozkołysana wiatrem zaczyna pachnieć, wyruszają górale z Podhala na sianokosy. Z kosami przewieszonymi przez ramię, pieszo lub na wozie, wybierają się oni często na kośbę na cały dzień, gdyż łąki i łączki odległe są nieraz od własnej zagrody o dobrych kilka kilometrów a nawet o mile drogi. Idąc przyśpiewują sobie, albo pokrzykują, a głos ich niesie się echem po cichych, słonecznych drogach.

A potem — szerokim łukiem młodych, silnych ramion, przedłużonych kosą, zagarniają połać pachnącej łąki po połaci, a trawa kładzie się im po boku na ciepłej ziemi.

To słońce poprаży, to znowu wiatr przeciągnie po łące, toteż trawa staje się po wierzchu coraz bledsza i suchsza. I wtedy sama gaździna, albo i córka, często obie razem, drewnianymi grabiami przewracają ją, aby wszystka równomiernie wyschła. Ważna jest praca kosiarza, ale niemniej ważna i robota z suszeniem. Potem rozciągnie się to siano jeszcze na krzyżakach, aby je wiatr dokumentnie przewiał i wszystką wilgotność z niego wyciągnął, a wreszcie konie, przystając od kopicy do kopicy i z każdej skubnąwszy choć parę długich, pachnących źdźbeł, zwożą swą karmę do zagrody. Tylko hen, w górach zostaje siano w szałasie i dopiero ze śniegiem zjedzie w dół.



Chociaż praca przy sianokosach, nie jest zbyt uciążliwą, trzeba jednak dać odpoczynek ludziom i koniom. Powyżej rodzina góralska z Chochołowa wraca w południe z łąk do domu.



Fot.: Błyskawica

Kosa, żeby i z najlepszego materiału, zawsze się przy pracy zużywa. Toteż obaj śwarni górale sklepują ją, aby za chwilę podjąć kośbę na nowo.



Sianokosy na Podhalu już są w pełni. Codzień rano wyruszają synowie gazdowscy z kosami na łąki. Młode ich ramiona zagarniają szerokim łukiem kosy wonną trawę, która choć wyschnie, zapachu nie straci i zimą stanowić będzie doskonałą paszę dla bydła.

WYCIECZKA

Pan Golec cieszy się na niedzielę. Przez cały tydzień dosyć się naślęczał nad kopytem szewskim, dość się nawygniatał spodni, dość się nagarbił i nazginał karku. Bolą go oczy i plecy.

Pani Golcowa też się cieszy. Całe dnie spędza w kuchni, wącha kapustę i cebulę, wącha pomyje, wdycha opar z mydlin.

Małe Golczęta też mają dość dnia powszedniego. Ciasne izby szkolne, ciasne podwórze, zdradliwa ulica z niebezpieczeństwem aut i tramwajów, to ich przestrzeń życiowa. Pragną innej.

Więc cała rodzina wybiera się w niedzielę za miasto.

Tata Golec dźwiga plecak, mama teczkę wypchaną mocno, Józio i Kazio niosą piłkę na zmianę, a Jancia piastuje lalkę.

Najpierw tramwajem, potem piechotą, gościńcem, potem drogą piaszczystą, potem ścieżkami między zbożem. Za zbożem jest lasek, a pod laskiem łączka.

Tam pan Golec ściąga plecak, wyjmuje z niego koc i jasiek, rozkłada to wszystko na zielonej trawce. Następnie małżeństwo zdejmuje przegrzane obuwie i porusza chwilę palcami u nóg, ze szczególnym uwzględnieniem wielkiego.

To rozkoszne odprężenie trwa z dziesięć minut, a potem rodzina rozpoczyna podwieczorek. Po podwieczorku, tato zdejmuje kołnierzyk i krawatkę, rozpina kamizelkę i pierwszy guzik od spodni. Wyjmuje gazetę i pogrąża się w polityce.

Mama strzepuje parasolem z koca łupki z jaj i papiery. To wszystko otacza koc białym wianuszkiem.

Na kocu sapie w głębokim śnie pani Golcowa, szeleści gazetą pan Golec.
A nad nimi ptaszki śpiewają.

Przez ten czas dzieci wchodzą w kontakt z przyrodą. Piłka i lalka leżą gdzieś pod krzakiem. Józio i Kazio badają życie mrówek. Wielkim patykiem dłubią w mrowisku, rozgrzebują kopiec i zasypują ziemią rojące się mrówki.

Jancia zatonęła w łanie żyta i zbiera bławatki. Nie widać jej, ale można do niej trafić wydeptaną w zbożu ścieżką. Jancia chodzi tu i tam, ścieżka wije się wężem, bukiet bławatków rośnie.

Słońce świeci, ptaszki śpiewają i byłoby wszystko skończyło się nawet miło, gdyby nie...

Miedzą nadchodzi chłop. Widzi ścieżkę w zbożu. Po tej ścieżce, jak po nitce do kłębka, trafia do Janci. Trzyma ją mocno za rękę i wlecze za sobą. Krzyczy przy tym strasznie, że to grzech tak niszczyć dary Boże. Że Jancia warta kija. Że za deptanie zboża powinien być kryminał...

Budzi się ze słodkiego snu pani Golcowa. Zrywa się pan Golec, by obronić córeczkę. Ale napastnik oddaje ją w ręce ojca z energiczną radą, by jej wsypał dobre baty — i odchodzi.

Jeszcze państwo Golcowie nie ochłonęli z oburzenia, a tu z przeciwnej strony nadchodzi kilku chłopców. Widocznie wracają z wycieczki. Stanęli kilkanaście kroków od obozowiska rodziny Golców, spoglądają, szeptają coś i nareszcie jeden z nich zbliża się i pyta grzecznie, czy te łupki z jaj i papierki są jeszcze potrzebne. Bo jeżeli nie, to oni im tu sprawią pogrzeb.

Pan Golec mruknął:

— To bezczelność.

Małżonka jego głośniej:

— Proszę zostawić nas w spokoju...

Ale ceremoniał już się rozpoczyna. Chłopcy wykopali dołek i wszystkie łupy i papiery przysypują ziemią. Śpiewają coś przy tym o zaśmiecaniu lasu, tak, że państwo Golcowie są czerwoni z oburzenia.

W tej chwili słychać z daleka płacz Kazia. Rodzice biegną i okazuje się, że mrówki oblazły biedne dziecko.

Rodzina Golców już ma dość wycieczki. Wracają wszyscy do domu w kwaśnych humorach. Tato milczy. Kazio jeszcze pochlipuje. Jancia opowiada Józiowi o tym strasznym chłopie, co ją napadł w zbożu, a mama wzdycha głośno:

— Mój Boże! Tak człowiek kocha naturę i tak się do niej zniechęcił...

ROZMAITOŚCI

Na wodach Oceanu Spokojnego znajduje się kilka tak zwanych dróg śmierci, na których nie można dostrzec jakiegokolwiek śladu życia. Każde zwierzę żyjące w morzu obchodzi z daleka tę okolicę, której promień dochodzi nieraz do 100 mil. Przekonano się, że na tych drogach śmierci woda morska, której głębokość waha się między 90 a 400 m, nie posiada w sobie rozpuszczonego tlenu. Z jakiego powodu nie wiemy dotychczas.

W dawnym Bizancjum sporządzano czerwony atrament z soku ślimaka purpurowego. Tylko sam cesarz mógł używać tego czerwonego atramentu kładąc swój podpis na dokumentach. Każdemu innemu śmiertelnikowi groziła kara śmierci o ile ośmielił się pisać czerwonym atramentem. Nawet namiestnikowi cesarza nie wolno było nim pisać.

Pierwsze skrzypce, o których wiemy, sporządzono w Indiach mniej więcej około 3—4000 lat przed narodzeniem Chr. Składały się one z kawałka skorupy orzecha kokosowego, na której były napięte dwie struny. Pociągając smyczkiem po tych strunach uzyskiwano miłe dla ucha dźwięki.

Jak wiadomo dostarczała przed wojną Gwinea francuska większą część swych bananów do Europy. Ponieważ dzisiaj na skutek trudności przewozowych import tych doskonałych owoców jest uniemożliwiony, a Gwinea francuska nie chce zbiorów bananów marnować, zaczęto tam wyrabiać z nich alkohol, który znakomicie zastępuje benzynę. Z tony bananów uzyskuje się 80 litrów tego materiału pędnego.

W dżunglach archipelagu malajskiego i na Sumatrze dojrzewa okryty kolczastą obsłoną tłusty owoc durianu. Bezsprzecznie jest to najsmaczniejszy owoc, jaki istnieje na świecie. Ale choć odznacza się on wybornym smakiem, ma tak nieprzyjemny zapach, że niewielu jest europejczyków, którzy odważą się skosztować go a i ci śmiałkowie nieliczni którzy zdobywają się na odwagę spożycia smacznego ale śmierdzącego mocno owocu, trzymają sobie chusteczkę między ustami a nosem w czasie gdy spożywają durian. Smakosze chińscy płacą ceny za owoce durianu, a tygrysy czatują nieraz całymi dniami pod wysokimi drzewami na spadnięcie dojrzałego durianu.

Każdy naród ma swój sposób mówienia nie tylko, gdy chodzi o słownik, ale także gdy idzie o szybkość w mówieniu. Uczeni przekonali się, że do narodów najszybciej mówiących należą Francuzi, którzy potrafią wymówić przeciętnie 350 zgłosek na minutę. Japończycy wymawiają ich 310, Anglicy 220 a Niemcy 250. Oczywiście jest to tylko przeciętna szybkość, w każdym narodzie znajdują się jednostki jeszcze szybciej lub wolniej mówiące. Rekord powolności w mówieniu osiągnęły niektóre ludy mórz południowych, które uważają, że ktoś szybko mówi, gdy wypowie 50 zgłosek na minutę.

W ogrodzie zoologicznym w Nowym Jorku trzeba było zastrzelić jednego ze słoni, gdyż stał się on bardzo złośliwy i stale napadał na swoich wartowników. Po zbadaniu przyczyny tej nieznanej dotąd u tego słonia złośliwości, stwierdzono, że słoń zmienił się na niekorzyść od czasu, gdy pewnego dnia odleciała z jego sąsiedztwa para rudzików, która często go odwiedzała. Opuszczony przez swoich skrzydlatych przyjaciół, stał się słoń niebezpiecznie złośliwy.

Są okresy, w których prąd rzeki Si-Kiang w Chinach jest tak silny, że ryby muszą szukać ochrony przed nim za sterczącymi w wodzie skałami, z obawy, by zbyt bystry prąd nie porwał ich i nie rozbił o kamienie. Za niektórymi skałami zbiera się takie mnóstwo ryb, że z łatwością można je przy pomocy siatki łowić. Za pozwoleniem łowienia ryb za takimi skałami płaci się nieraz 10.000 złotych.

Sekcie kwakrów nie wolno przysięgać ani kląć. Każdy najpotulniejszy i najgrzeczniejszy człowiek znajdzie się jednak w sytuacji, w której musi dać wyraz swemu gniewowi lub oburzeniu. Wtedy oczywiście kwakrowie radzą sobie w najrozmaitszy sposób. Pewien członek tej sekty zamiast krzyknąć w oczy swemu nieprzyjacielowi: „Ty kłamco!" powiedział do niego bardzo uprzejmie te słowa: — Wiesz, że nie jestem grubianinem, Jimmy. Gdyby jednak sędzia rozjemczy powiedział do mnie: „Idź i przyprowadź mi największego i najbezczelniejszego kłamcę tego miasteczka!", to nie namyślając się poszedłbym do ciebie i oznajmił ci, że sędzia rozjemczy chce się z tobą widzieć.

B. KRÓL

Lato

Perlistość letnich dni pszczeliste miodopoje,
soczysta jędrnia krwi w skibiskach ziemi mojej.

Pulsuje pługu lśnia w przeorach gospodarnych,
jutrzejszy duszy trud w spęczniałych potem ziarnach.

Pienista zieleń drzew faluje w piersiach sadów,
całując pąków źdźbła — owocobrania radość.

Pieściwy wiatru wiew — gdy w pola spać się garnie,
wieczorne gędźby zbóż — kropliste „Ave Maria"...

E. KŁONIECKI

KRÓL TATR

Było to w Tatrach jakoś pod jesień. Jeszcze tu i ówdzie pasły się stada na halach i skubały resztki mizernych traw, a już buki poczęły stroić się w czerwień i nocne chłody dawały się we znaki wszystkiemu, co żyło.

Na Pisanej w Kościeliskach bacował podówczas stary Łowisz z synem Jaśkiem i drugim jeszcze juhasem od Kulów, a i ze swoją wnuczką Maryną.

Zwykle na podwieczerz, gdy spędzono owce do zagród i powiązano bydło, a psy owczarskie strzegły bacowskiego dobra, — stary Łowisz wlókł się do szałasu, siadał przy ogniu i, ćmiąc fajkę, nieraz po późną noc opowiadał różne gadki swej czeladzi, która go chętnie, z ciekawością słuchała.

Raz, kiedy tak wszyscy zasiedli wedle watry, baca jął prawić, jako to drzewiej bywało...

Zakopanego ani Witowa ani Cichego jeszcze wtedy nie było; wszędy ciągnęły się jeno nieprzebyte puszcze, a w borach — co krok niedźwiedzie i wszelinijakie inne drapieżniki. Ciekawość więc niejednych brała zobaczyć, co też to się więcej kryje w tych głębiach leśnych i co to za kraj poza niemi, za reglami, u stóp samiutkich gór?

Nie namyślając się wiele, zmówiła się gromada chochołowskich górali i pewnego dnia wyruszyła ku południowiej stronie na zwiady, aby zaspokoić swą ciekawość, wdarła się w gąszcz leśny, przebyła regle, z niejednym niedźwiedziem stoczywszy walkę, aż wreszcie dotarła do wielkiej polany u podnóża jakiejś hrubej wysokiej turni.

Stanęli górale i patrzą. Na polanie — trawa po pas; cała chmara dzikich kozic pasie się wesoło, pobekując, a na wykrocie, na kłodzie jodły, powalonej wichrami, siedzi wielki chłop, wysoki może na jakie trzy metry, w kożuchu, obróconym wełną do góry, i gra na gęślach, że hej!...

A co przerwie — to zwierzęta trwożnie podnoszą zaraz głowy i nadstawają uszu, jakby obawiały się czegoś...

Nie wiedzieli górale, co począć: iść dalej, czy wracać? Gdy tak stoją i medytują, jeden z nich, nie zastanawiając się widocznie, co się może stać — huknął (jak to już u nich we zwyczaju bywa!) na cały głos:

— Hooho-huuuu!

Urwała ci się melodia gęśliczkowa naraz. Kozice pierzchły jak wiatr z polany a ów olbrzym, podniósłszy się z kłody, przyłożył ręce do ust w odzew odkrzyknął:

— Hooho-huuuu!

I iść począł w ich stronę. A głos jego był, jako ten grzmot w czasie nawałnicy i rozbrzmiał trzykrotnym echem wśród złomów i urwisk skalnych...

Z trwogą na siebie spojrzeli górale, obnażyli głowy i przeżegnawszy się pobożnie, jęli spiesznie cofać się w głąb boru. A dźwięk głosu „tamtego" biegł w ślad za nimi i wwiercał się w ich uszy i serca...

A gdy wrócili napoły żywi do wsi swojej i opowiedzieli plebanowi dokumentnie to wszystko co widzieli, tenże — wysłuchawszy ich uważnie — objaśnił, że był to nie kto inny, jak tylko sam król Tart, dobrotliwy pan i opiekun zwierząt górskich, który nie lubi, gdy go ktoś „po próżnicy" daremnie woła lub przeszkadza w jego rządach i odrywa od pracy.

I od tej pory zabroniono surowo wszystkim, którzy się w regle udawali, aby czasami, broń Boże, nie naruszali krzykiem majestatu gór i nie odrywali „nieznanego" olbrzyma od jego zajęć!...

— — — — — — — — — —

Dawno baca skończył swą opowieść; już dwa razy zdążył fajkę swoją na nowo nałożyć i wypalić, a juhasy siedzieli wciąż bez ruchu, zadumani i zapatrzeni w przygasającc ognisko...

Nikt nie zauważył nawet, jak Maryna, uwarzywszy posiłek, odstawiła garnek na bok — i cicho, niepostrzeżenie wysunęła się z szałasu do pola.

Na świecie już dobrze poszarzało. Gdzieś hań po turniach szedł cichy wiatr i chwilami przewalał zwały mgieł, a te, zsuwając się powoli po obleśnych żlebach i piargach w dół — oplatały, niby uściskiem, karłowatą kosówkę i kępy dzikich, zrudziałych traw...

Maryna chwilę stała na progu, potem przywołała psa, leżącego obok, pogładziła go po długich, puszystych kudłach i już, już miała zawrócić do szałasu, gdy wtem — coś nagle, jakby pokusa — szepnęło jej do uszu:

— Zakrzyknij!

Nie namyślając się wcale, przyłożyła obie dłonie do ust i naraz: — Hooo-huuuu! — padło z jej piersi gdzieś w przestrzeń!

Lecz jeszcze nie przebrzmiało echo jej głosu, gdy wtem — skądś, spod turni, czy też od upłazu — ktoś jeszcze głośniej i donośniej, jakby przedrzeźniając się, odkrzyknął:

— Hooho-huuuu!

— Pewnikiem ftoś zabłądził w górak i woła o pomoc! — pomyślała Maryna i znów, przyłożywszy do ust dłonie, huknęła z całej siły:

— Hooho-huuuu!

Tymczasem ten k t o ś odezwał się już znacznie bliżej niż za pierwszym razem.

Ośmieliło to dziewczynę i nawoływaniom jej nie było końca. A głos tamten zbliżał się coraz bardziej, rósł, potężniał...

Wreszcie rozległ się prawie tuż obok, ale taki dziwny, niezwyczajny, że Marynę mimowoli strach ogarnął.

W jednej chwili zawróciła i wpadła do wnętrza szałasu, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Porwali się z miejsc juhasi; dziadek chwycił za ciupagę, a Maryna, wcisnąwszy się w kąt szopy, stoi wylękniona i drży cała...

— Co ci? — pyta baca, nie wiedząc, co się stało.

— Dziad...ku!... dziad...k...u!!!...

— Co? mów?

— Tam... hawok... za pro...giem!...

— Kto?...

— On!... Król T...a...t...r!!!

— Jakto? Skąd?!?

— Ano... zawołałak: „Hoo-huuu"!

— No i...?!

— ...Zeseł na... na...som holę!!!

— O, ty, niescensna! — zawołał starzec i już... już miał skoczyć ku wnuczce, gdy wtem warknął pies u progu, skrzypnęły zcicha dźwierze i do szałasu wszedł olbrzym. Odziany był w barani kożuch odwrócony do góry wełną, a u każdego strączka wisiał sopel lodu. Twarzy jego trudno się było dopatrzeć, bo wszedłszy, musiał wpół się zgiąć, aby nie uderzyć głową o niski pułap. Tylko juhasi jakoś zauważyli, że miał nos orli i włosy długie, całkiem białe, jak śnieg...

Tymczasem dziwny przybysz podszedł do ogniska, nachylił się nad płomieniem i stał tak chwilę, aż z lodowatych sopli poczęła sączyć się woda i zalewać watrę.

Oprzytomnieli pasterze, widząc co się dzieje. Zerwał się Jasiek na równe nogi i przyknął:

— Święconej wody i... baziczek!

Porwał się z miejsca młodszy juhas, wskoczył na ławę, sięgnął za obraziczek Panienki Ludźmirskiej i, wyciągnąwszy kawałek kredy poświęconej, dalejże opisywać nią koło wedle watry.

Lecz nieznajomy nie czekał, zakiela go opiszą i pokropią: pogroził tylko Marynie i, zwyrtnąwszy się, nagle gdzieś się podział!...

Tylko psy owczarskie wyły jeszcze potem przez długą chwilę i juhasi nie śmieli oderwać się czas jakiś ani też wyjrzeć przed szałas, tak byli przerażeni...

A na drugi dzień, a raczej tejże samej nocy — przygnał zimny wiatr od Orawy śnieżne chmury i przykurzył całuśką halę Pisaną, że hej!...

— — — — — — — — — —

Od tej pory stary Łowisz już nie brał ze sobą na halę wnuczki Maryny i jak tylko buki zaczęły się w Kościeliskach stroić w czerwień i owce drzeć po nocach — zaraz kazał spędzać stado z gór w doliny — i to bez krzyku, aby czasami, broń Boże! nie ściągnąć znów na siebie gniewu króla Tatr...

TARG NA PTAKI W BRUKSELI









Obywatele stolicy belgijskiej kochają ptaki i nie ma w Brukseli bodaj domu, w którym nie byłoby słychać miłego ćwierkania lub gwizdania skrzydlatych przyjaciół człowieka. Kosy, szpaki, sikorki i inne ptaki, które można trzymać w klatkach, rozweselają mieszkanie całych rodzin i osób samotnych.

Jak inni urządzają giełdy drogich kamieni i giełdy pieniężne, tak Brukselczycy wprowadzili giełdy na ptaki. Co niedzielę, przedpołudniem, odbywa się przed słynnym ratuszem brukselskim targ na ptaki, na którym widzi się zapalonych miłośników tych stworzeń. Wszyscy oni znają się od lat, zarówno kupujący jak i sprzedawcy. Jeżeli klatka niejednego z nich jest już pełna, to przychodzi on popatrzeć przynajmniej, jakie ptaszki są wystawione na sprzedaż. Tak się już do tych targów przyzwyczaił. Nasze zdjęcia pokazują nam kilka scen z takiego targu na ptaki w Brukseli.

Od góry:

— O, widzi pan, — tłumaczy starszy pan drugiemu — tę sikorkę wziąłbym, ale już nie mam miejsca w domu.

Zamknięte w klatkach ptaki nie czują się wcale strwożone licznym towarzystwem.

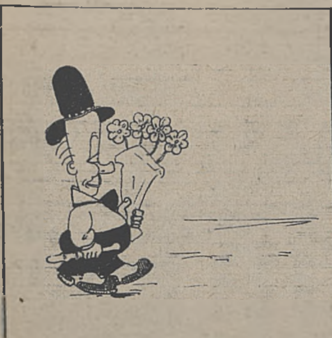
Delikatnie i ostrożnie bierze kupujący z rąk sprzedawcy maleńkiego ptaszka.

Wielką musi być przyjaźń Brukselczyków dla ptaków, sądząc po liczbie zebranych na placu przed ratuszem.

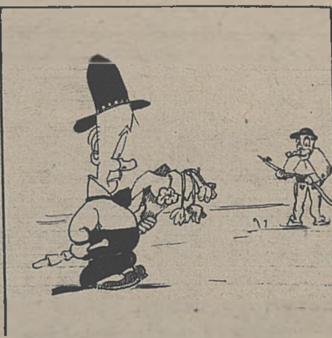
Fot. Tschira

POMOC W PORĘ

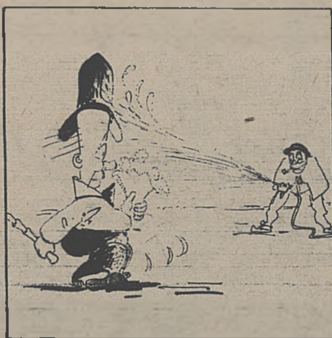
Rys. i tekst: Pawl.



Knotek bukiet kupił świeży,
By najdroższej w dzień imienia
— Jak wypada i należy —
Złożyć kwiaty i życzenia.



Lecz choć śpieszy się jak może
Wkrótce zwiądł mu bukiet cały...
Taki upał jest na dworze!
Knotek kłopot ma niemały...



Ale Motek, który właśnie
Zlewał wężem tu ulicę
Puścił strumień i na bukiet
No — i na Knotkowe lice.



Z Knotka woda aż się leje...
Ale bukiet — także świeży!
Więc się Knotek tylko śmieje
I dziękuje jak należy.

SAMOBÓJCA

HUMORESKA — NAPISAŁA KAROLINA JASIŃSKA

W ciasnej, zadymionej knajpce pod „Dobrą datą" bractwo tęgo pije. Murarze i cieśle wracający z pracy, spłókują tu pył budowni, który im przez cały dzień osiadał w gardłach dezynfekując je powoli ale tak dokładnie jak chirurg swe narzędzia przed operacją. Toteż jedyny kelner tej świątyni Bachusa, uwieńczonego nie liśćmi szlachetnej winorośli, lecz łętami najzwyklejszych ziemniaków, uwija się między czterema stolikami, żonglując tackami i kieliszkami z wprawą zawodowego kuglarza, przytem dla utrzymania równowagi wywija świeżo upraną serwetą tak zamaszyście, że raz po razu przejeżdża nią jednemu lub drugiemu gościowi pod nosem.

W jednym z kątów, przy samotnym stoliku, siedzi mały, suchy jak szczapka sosnowa z ubiegłego roku krawiec, Jan Grzeszek. Jego mysie oczka zwykle ożywione i podobne do dwóch świecących perełek, patrzą teraz trochę szkliście i wodniście w ścianę niebieskawego dymu, w którym głowy rozochoconego bractwa z pod znaku kielni i piły zdają się rozpływać lub zmieniać w kulę lampy wiszącej u niskiego sufitu.

Pan Jan jest dzisiaj dziwnie nastrojony. Ma znowu swoją chandrę. Nie wiadomo skąd się przyplątała i za nic w świecie nie chce go opuścić. Wprost przeciwnie. Każdy kieliszek, w którym pan Jan chciał ją utopić, raczej ją powiększał. Więc też bojąc się, by coraz bardziej nie rosła, wstał pan Jan, powtórzywszy te próbę kilkakrotnie, podszedł krokiem przypominającym znak zapytania do wieszaka, na którym obok gazety z przed tygodnia wisiał jego kapelusz i powiedziawszy „dobranoc" głosem trochę drżącym opuścił krainę uśmiechu i wyszedł w ciemny lecz wszystkimi woniami lata pachnący wieczór lipcowy.

Droga prosta jest według praw matematyki, najkrótszą drogą ze wszystkich istniejących i pan Jan napewno o tym wiedział, nie umiał jednak wpłynąć o tyle na swoje nogi, by one tą najkrótszą drogą poszły. Toteż mimo wszystkich usiłowań w tym kierunku, znalazł się pan Jan niedługo nad młynówką, płynącą w stronie wprost przeciwnej od jego domu. Świeży zapach wody podrażnił nozdrza pana Jana. Przystanął i zaczął wciągać zapach wody i nocy letniej jak wyżeł wiatr. Na zakrętach i wśród korzeni olch ginących w młynówce bulgotała po cichu woda, a panu Janowi zdawało się, że słyszy stłumiony śmieszek najmilszej mu niegdyś dziewczyny. I nagle — chandra opuszcza go w jednej chwili, pan Jan czuje się zdrowy na duchu i chciałby spłókać ze siebie zaduch knajpki i dymu, który spowija jeszcze jego głowę. Ponieważ nic nie stanęło wpoprzek jego chęci, zrzucił pan Jan bez namysłu ubranie i w stroju, w którym chodziłby po raju, gdyby nie głupota Adama, który ze zwykłego łakomstwa musiał zapuścić również i swoje zęby w to zakazane jabłko, zsunął się po miękkiej i przyjemnie chłodnej trawie do wody.

— — — — — — — — — — —

Kiedy następnego dnia starszy posterunkowy policji, Brzęk, zaczął spełniać codzienne obowiązki swego stanu, trafił też nad młynówkę. Oczy jego z przyjemnością wodziły po miłym krajobrazie, toteż bardzo prędko spostrzegły na kępie trawy nad młynówką ubranie męskie, wyglądem swym zdradzające przynależność do porządnego mieszczanina. Żadną miarą nie mógł natomiast dojrzeć butów i kapelusza jak również właściciela leżącej nad wodą manufaktury. Jeżeli znajduje się tu jego ubranie — zaczął logicznie wnioskować starszy posterunkowy Brzęk — to i on, mimo, że kąpiel i pławienie koni w tym miejscu było przez zarząd miasta pod karą wzbronione, powinien się gdzieś w pobliżu znajdować. Nie mając zamiaru obrażać ewentualnego pływaka, gwizdnął posterunkowy Brzęk raz i drugi, potem zawołał raz i drugi, ale wołanie jego pozostało głosem wołającego na puszczy. Nikt się nie odzywał ani zjawiał. Sprawa jest więc podejrzana — według opinii posterunkowego Brzęka. Samobójstwo wydaje mu się rzeczą wykluczoną, bo najpierw miała młynówka w miejscu najgłębszym tylko 1,50 m, powtóre przypuszczenie, by ewentualny samobójca wszedł do wody, siadł na dnie i czekał aż ona go zaleje, byłoby zbyt trywialne, a wreszcie czyhający na własne życie osobnik nie myśli już o rozbieraniu się. Często jednak czyta się w porze letniej w dziennikach, że kąpiący się ulegają nieszczęśliwym wypadkom. Mógł więc i tu zdarzyć się taki. Co by nie było, obowiązkiem jego, starszego posterunkowego, jest przeszukanie ubrania, i stwierdzenie tożsamości denata, jeżeli oprócz źdźbeł tytoniu z papierosów i zapasowego klucza od drzwi znajdzie w kieszeniach ubrania bardziej szczegółowe dane osobiste. Zaczął więc szukać. W bocznej kieszeni marynarki znalazł posterunkowy Brzęk mały notes. Otworzył go i zaraz na pierwszej stronie przeczytał takie notatki: „p. kierownikowi szkoły dostarczyć przenicowane ubranie 17 czerwca", „od p. naczelnika poczty za odprasowanie spodni 7 zł", „księdzu proboszczowi rewerendę na niedzielę"...

Te krótkie dane wystarczyły zaprawionemu w kruczkach detektywistycznych obrońcy porządku publicznego. Denatem nie może być nikt inny jak mistrz krawiecki. A mistrzem krawieckim, który szyje dla kierownika szkoły, naczelnika poczty i księdza proboszcza, jest jego przyjaciel, Jan Grzeszek.

Straszna to śmierć! Taki dobry przyjaciel! Mimo że kąpał się w miejscu zakazanym. Starszy posterunkowy zgarnia z czcią doczesny pokrowiec swego przyjaciela, bierze go pod pachę i ze skarpetką zwisającą z nogawki spodni, rusza powoli w stronę miasteczka. Pozostaje mu teraz jeszcze jeden trudny obowiązek do spełnienia: zawiadomienie wdowy o śmierci męża. Chociaż idzie bardzo powoli, wydaje mu się dzisiaj, ta droga tak krótka jakby ją przebył w siedmiomilowych butach.

Stanąwszy przed bramą domu, w którym mieszkał nieboszczyk, otarł posterunkowy Brzęk pot z czoła, westchnął ciężko i jeszcze cięższej zaczął wstępować na schody, zastanawiając się nad tym w jakich słowach zawiadomić wdowę o jej nieoszacowanej stracie.

Pani Katarzyna Grzeszek zaczęła drżeć ze strachu gdy otworzywszy na dźwięk dzwonka drzwi, zobaczyła przed sobą przedstawiciela władzy. Miała ona przed nią należyty respekt, od czasu gdy w jakiejś sprawie o kradzież wezwana została jako świadek do sądu. Spostrzegłszy jednak, że posterunkowy trzyma pod pachą jakieś cywilne ubranie, odzyskała natychmiast rezon i od razu stała się dzielną kupcową, pomocnicą swego męża. — Proszę wejść, panie wachmistrzu, mój mąż zaraz do pana wyjdzie. I proszę być pewnym, że ubranie będzie leżało na panu jak ulane.

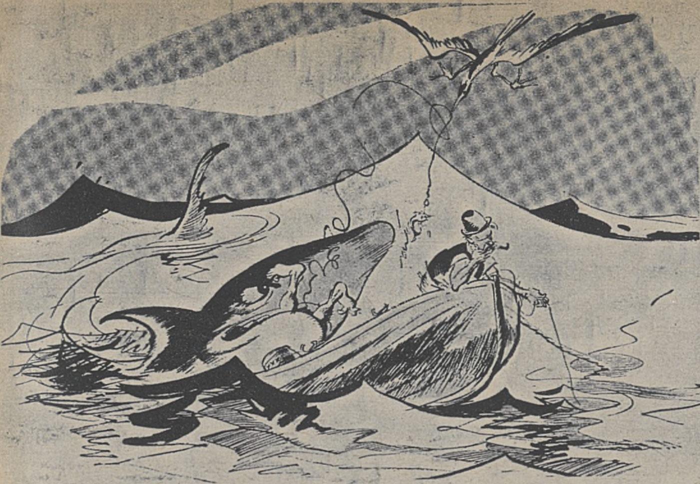
Starszy posterunkowy Brzęk zaczął się drapać w głowę i bąkać: — ...chodzi o to, ... że... te rzeczy ja znalazłem... nad młynówką... niech pani popatrzy na nie... i... może w takim razie nie muszę już mówić... albo... przykro, że to ja właśnie... ale... pani mąż się u t o p i ł ! ! !

Niewiele brakowało, a posterunkowy Brzęk byłby zginął tą samą śmiercią, z emocji zalany był bowiem potem i dusił się. Pani Katarzyna usłyszawszy tę straszną wieść, nie zemdlała, jakby się tego należało spodziewać, lecz otworzyła oczy i usta tak szeroko, że można się było obawiać drugiej komplikacji. Po czym, nic nie mówiąc, pobiegła do pokoju na wprost drzwi wejściowych, a za nią z ubraniem pod pachą wszedł powoli posterunkowy Brzęk. W jednym z rogów pokoju stało miejsce codziennego spoczynku pana Jana i do tego miejsca skierowała swe kroki pani Katarzyna. Stanąwszy przed łóżkiem spojrzała. Spod góry pierza widać było głowę pana Jana, śpiącego jak dzieciątko niewinne z błogim uśmiechem na twarzy. Pani Katarzyna spojrzała na krzesło obok łóżka, na którym, w myśl najprostszych zasad logiki powinna znajdować się manufaktura jej męża. Garderoby nie było, na jej miejscu natomiast spoczywał kapelusz, pod krzesłem zaś, nosami na pokój, stały buty jej męża.

— Janek — krzyknęła pani Katarzyna tak dziwnym głosem, że góra pierza poruszyła się nieco. — Janek — krzyknęła drugi raz — Jaaanek! — Pan Jan był zawsze bardzo czuły na głos małżonki, toteż i teraz głos ten dotarł do jego świadomości, wydawał się mu jednak jakimś dalekim echem. Dlatego nie odezwał się. Oburzona tą obojętnością pani Katarzyna, zaczęła ściągać pierzynę z męża, lecz spojrzawszy na rozbudzonego tym manewrem partnera swej taczki życiowej, rzuciła ją czym prędzej na niego z powrotem i stanęła przed posterunkowym Brzękiem jak wcielenie skromności. A pan Jan, mimo że przywalony był już pierzyną, naciągał ją coraz bardziej na siebie.

Mając w tym dowód jego zupełnej już przytomności przystąpił teraz starszy posterunkowy policji do spełnienia swej powinności. Przede wszystkim złożył na miejscu przynależnym garderobę swego przyjaciela, po czym oznajmił mu, że maszerował przez miasteczko w stroju świętego tureckiego mając na nogach buty a na głowie kapelusz i że to sprzeciwia się takiemu to a takiemu paragrafowi. Okoliczność łagodzącą stanowi fakt, że było ciemno. Wobec tego pan Jan zapłaci tylko 20 zł kary zamiast 50. Dalej — wbrew przepisom wydanym przez zarząd miasta, kąpał się pan Jan w miejscu zakazanym, za co obowiązuje kara 40 zł. Bez żadnej apelacji i odwoływania się do przyjaźni. Razem 60 złotych. Pan Jan przyjął to wszystko do wiadomości zawsze jeszcze pod górą pierza, stęknął tylko i pomyślał: — Drogo mnie kosztowała ta chandra. Trzeba będzie jedną marynarkę darmo przenicować.. — Świadomość jednak, że będzie jeszcze w ogóle mógł coś nicować była mu osłodą w tym nieszczęściu. Pani Katarzyna założywszy ręce na fartuchu, kiwała tylko głową, nie mając serca robić wyrzutów wyratowanemu z topieli niepowodzeń mężowi, a starszy posterunkowy Brzęk mógł wreszcie pofolgować sobie, roześmiał się więc wesołą gamą na cały pokój: „Aleś paradował, Jasiu, a niechże cię!"

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



SŁOWA POUCZAJĄ, CZYNY POCIĄGAJĄ

Dobry przykład na przykład to lokomotywa:
Pracuje całą parą, choć jest ledwo żywa!
Wagony idą za tą przykładną „osobą",
Bo zawsze dobry przykład pociąga za sobą...

NA DETEKTYWA

Detektyw szukał złoczyńcy. Drzwi do salonu otwiera
I w towarzystwie powiada: — „Gałgany! Psiakrew! Cholera!"
Szukał złoczyńcy... Nie znalazł. Jam się tym wcale nie zdumiał:
Jakżesz miał znaleźć złoczyńcę, jak sam... się znaleźć nie umiał!

KŁÓTNIA

Kłóciło się o mleko, dwóch już w starszym wieku —
Wyzywali się głośno, darli sobie odzież;
Pierwszy krzyczał, że wody jest za dużo w mleku,
Drugi wrzeszczał, że mleka jest za mało w wodzie!

Eug. Kol.

Lekarz: — A jakże ma się sprawa ze snem pana? Śpi pan dobrze w nocy?

Pacjent: — Niestety nie. Dopiero nad ranem usypiam na dwie lub trzy godziny.

Lekarz: — Hm, to ważne. A nie domyśla się pan przyczyny tej bezsenności?

Pacjent: — Owszem. Do godziny czwartej grywam w karty, a o ósmej rano muszę być już w biurze.

Lekarz: — Dziś już panu lepiej. Może pan sobie pozwolić na małą szklankę piwa.

Pacjent: — Co pół godziny, panie konsyliarzu, prawda?

Żona: — Ciekawam bardzo co powiedziała Ewa, gdy tak nagle wypędzono ją z raju?

Mąż: — Łatwo zgadnąć; powiedziała to, co odtąd wszystkie za nią przed każdą podróżą powtarzacie: „Nie mam literalnie co na siebie włożyć".

— Mężu, co widzę! Całujesz pokojówkę, to nieznośne stworzenie, któremu musiałam dopiero co nawymyślać za nieposłuszeństwo!

— Właśnie, moja duszko, chciałem spróbować, czy nie uda się wpłynąć na nią dobrocią.

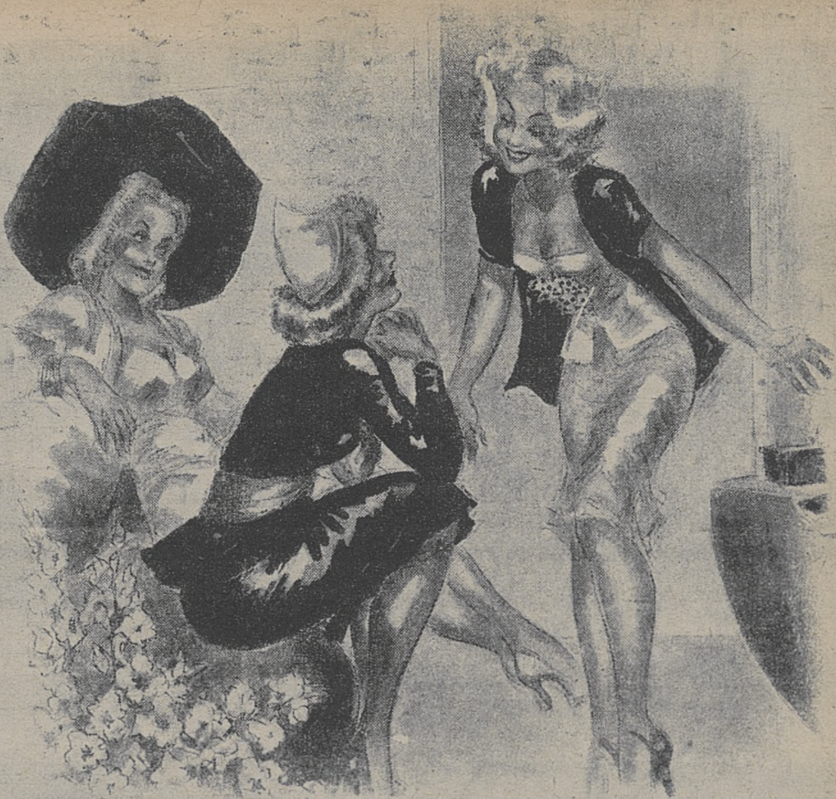


ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

„Wiesz, Pedro, one dziś tak dobrze nie chwytają jak wczoraj!"
(Estampa, Hiszpania)

*

„Słuchajcie!!! Enrico oświadczył mi się i zaręczyliśmy się. Ach, jaka jestem szczęśliwa!"
„My mamy to szczęście już poza sobą; ale z całego serca życzymy ci naszego eks-narzeczonego". (Sempre fixe, Portugalia)



Wierszokleta: — Ileż poezji tkwi w gałązkach choćby takiej wierzby.

Jego towarzysz: — Ale dopiero wtedy gdy się je przerobi na kosze do papieru.

Matka: — Słyszałam, że chodzisz z jakimś akademikiem. Jak cię kiedy z tym gołowąsem zobaczę...

Córka: — Niech się mama nie gniewa, powiem mu, żeby zapuścił wąsy.

— Doktorze... Okropnie mnie boli głowa codzień... Proszę mi coś poradzić.

— Niech pani wyjdzie za mąż!

— A wtedy?

— Wtedy to już męża pani będzie bolała głowa.

— Masz rację ojcze, Fela ma trochę wad, ale ja ją kocham i nie mogę b e z n i e j żyć.

— A czy zastanawiałeś się już nad tym, czy z n i ą będziesz mógł żyć?

Sublokator do swej gospodyni, u której się stołował: — Gdzież się podział królik, który niedawno temu bawił się tak wesoło na podwórzu?

Gospodyni: — Wczoraj jadłeś pan na obiad pieczeń z niego.

Sublokator: — To dla mnie zabiła pani tak wesołe stworzenie?

Gospodyni: — E, nie zabiłam, samo zdechło.

— Widzisz tam na rogu starego Brzęczyckiego? Ile razy go zobaczę, tyle razy przychodzi mi ochota przyjść mu z pomocą w jego kłopotach pieniężnych.

— Czy naprawdę jest z nim tak źle?

— Tak jest. Ma on tyle pieniędzy, że jest w kłopocie co z nimi robić.

— Cóż? zamieniliście ze sobą pierścionki zaręczynowe?

— Nie, zamieniliśmy tylko kwity lombardowe, nasze pierścionki znajdują się bowiem w lombardzie.

*

„Spróbuj, Bill, malować raz przy pomocy palety. Zobaczysz, że w pracy twojej będzie o wiele więcej artyzmu".
(New Yorker, Ameryka)

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY Nr. 12 (43).
DZIAŁ ZADAŃ

3-chodówka Nr. 12 (43). H. Boldt (»Deut. Schachztg.« 1941).
Czarne: Ke4, Gc7h3, Sd5 f5, piony: b7, h7 (7).
Białe: Kf8 Hh6, We7g2, Ge5, Sd4e1, piony: b6, g7 (9).
3-chodówka. 9½7 × 16. Mat w 3 posunięciach.

Końcówka (studium) Nr. 12 (43). K. A. L. Kubbel (»Tidsk. f. Schack« 1917).
Czarne: Ke8, Sg3, piony: h3, h6 (4). Białe: Kd5, Ggg8, piony: e6, h4 (4).
Końcówka (×) 4½4 × 8. Białe zaczynają i remisują.

Rozwiązanie 3-chodówki Nr. 11 (42) (Hess): 1. K—g5 (grozi 2. K—f6 i 3. G—e6 ×) I. 1... S—b5 2. S—b4 K—c5 3. S—d7 ×. II. 1... S—c6 2. S—c7 K—c5 3. S—d7 ×. III 1... S—d6 2. S—c7 K—c5 3. G—f2 ×. IV. 1... S—e7 2. G—$e6_2$ K×e6 3. S—c7 ×. V. 1... S—b6 2. S—c7 K—c5 3. b4 ×.

Rozwiązanie końcówki Nr. 11 (42) (Rinck): 1. K—e3 (A) G—g2 2. W—c5 (B) K—g4 3. W—g1 (C) W—f3 4. K—e2 (D) W—g3 (K—g3 5. W—g5) 5. K—f2 (E) K—h3 6. W—h5 (F) K—g4 7. W—h8 (h2) (G) i wygrywa.

1... G—d5 (Gb7, e4 2. W—c5 K—g4 3. W—g1) 2. W—c5 (H) W—e4 (K—e5 3. W×G) 3. K—d3 (I) W—e5 (K—e5, e6 4. W×G K×W 5. W—a5) 4. K—d4 (J) K—e6 5. W—a6 (K) i wygrywa.

1... K—g4 (G—h5 2—W—c5 itd.) 2. W—g1 (L) K—f5 3. W—c5 (M) i wygrywa.

(A) 1. W—c5? K—g4 (—g6) 2. W—g1 K—$h4_2$ 3. K—e3 (Wf1 K—g3) W—$g4_2$ 4 .W—f1 G—g2 5. W×P K—g3.

(B) 2. W—a5? K—g4 3. W—c2 G—f3 (W—f3) remis.

(C) 3. W—a2? G—f3 lub 3. W—a5? f5 remis.

(D) 4. K—d2 (d4, e4)? W—g3 remis. (E) 5. W—c4 K—$h3_2$

(F) 6. W—f5? W—a3 7. W—h5 (W×G, W—a2 8. K—f3 W—a3) K—g4 8. W—h2 W—a2 9. K—e3 K—g3 remis.

(G) 7. W—a5? K—h3 8. W—h5 remis.

(H) 2. W—a5? W—f3 3. K—d4 W×W 4. W×G K—e6 remis.

(I) 3. K jakk. W—e5 remis.

(J) 4. W—a5? G—$e4_2$ 5. K—e3 $f6_2$ remis.

(K) 5. W—a5 W—e4 6. K—d3 W—e5 7. W—a6 K—d7 8. K—d4 G—$e7_2$ 9. W—a7 W×W 10. W×G W—c7 remis.

(L) 2. W—f1? W—e4 3. K—d2 (f2) W—e2 remis.

(M) 3. W—g8 W—$g4_2$ 4. W—c5 (W—d8 G—g2) K—$f6_2$ remis.

3. W—g3, g7 lub W—c7, a3? (W—f1? K—g4 4. W—g1) (W—d3? G—e4 (c6) G—d5 4. W—c5 (a5) W—e4 5. K—d3 K—e6 remis.

UWAGA! FOTOAMATORZY!



„PRAGNIENIE"

Nadesłał p. G. Nibołajuk z Chroberża k/Buska. Wykonano aparatem Agfa, o godz. 10 rano, przysłona 16, czas 1/100 sek.



„ZABAWA W INDIAN"

Wykonał p. Michał Ławacz z Końskiego. Rodzaj aparatu nie podany, film Leica Ultragram, przysłona 8, czas 1/150 sek. godzina 5-ta popołudniu.



MATKA I GOSPODYNI
WIEŚNIACZKA Z CHOCHOŁOWA OBOK NOWEGO TARGU
Fot. Ilustrowany Kurier Polski